

## Przegląd amerykański (V)

### Republika czy imperium na zgliszczach kultury

Jacek Koronacki

#### Po zimnej wojnie

Doktryna zimnej wojny, oparta na strategii powstrzymania (ang. *containment*), sformułowana została przez Georga F. Kennana, wówczas ambasadora USA w Moskwie, w jego tzw. „długim telegramie” przesłanym władzom w Waszyngtonie w roku 1946. Telegram, rzeczywiście „długi”, bo liczący około 8000 słów, odegrał istotną rolę w konstruowaniu i potem realizacji doktryny Trumana. W lipcu 1947 r. Kennan, ukryty pod pseudonim X, przedstawił założenia strategii powstrzymania w dwumiesięczniku „Foreign Affairs”, czym rozpoczął szeroką dyskusję nad trafnością jego recepty i właściwym kształtem przeciwstawienia się komunistycznemu ekspansjonizmowi.

Rozpad Związku Sowieckiego oznaczał formalne zniknięcie z areny światowej jednego z dwóch supermocarstw i, tym samym, konieczność wypracowania przez USA nowych podstaw swej polityki międzynarodowej. W Ameryce trwa zatem dyskusja politologów i środowisk opiniotwórczych nad tą kwestią, tym bardziej naturalna i tym potrzebniejsza, że amerykańska polityka zagraniczna ostatniej dekady jest w zgodnej ocenie niespójna, nieraz wyglądająca tak, jakby decyzje należały do redaktorów wielkich stacji telewizyjnych, którzy odpowiednim obrazem i komentarzem są w stanie zyskać poparcie opinii publicznej w dowolnej sprawie.

W swoim pierwszym przeglądzie („ARCANA” 25/1999) wspominałem już o ścieraniu się trzech wizji – jednej, zwolenników *globalizmu* i amerykańskiej *życziwej hegemonii*, drugiej, zakładającej wielocentryczny układ geopolityczny i trzeciej, izolacjonistycznej. [tu przypis 1] Jakiś czas temu, chcąc być precyzyjnym, należało globalizm i hegemonizm traktować oddzielnie. Globaliści stawiali na przejściowy charakter wspólnot narodowych, ograniczenie suwerenności państw, Ameryki (przynajmniej *implicite*) nie wyłączając, popierali wzrost znaczenia organizacji ponadnarodowych oraz globalizację rynku ekonomicznego. Globalistą był na przykład Strobe Talbott i niektórzy inni członkowie administracji prezydenta Clintona. Tak radykalnie pojmowany globalizm przegrał i dziś zdaje się coraz lepiej mieścić w nurcie reprezentowanym przez orędowników *życziwej hegemonii*. Ci ostatni zresztą także godzą się ze wzrostem znaczenia organizacji ponadnarodowych oraz globalizacją ekonomii, i przewidują, iż niekiedy konieczne będzie przedłożenie interesu ponadnarodowego ponad interes narodowy.

Przyglądając się bliżej tej amerykańskiej dyskusji nie można oczywiście pominąć opinii politologów i ograniczyć się tylko -- jak to jest w zwyczaju tej rubryki -- do zrelacjonowania stanowiska konserwatystów tej czy innej maści. W dyskusji, jak pół wieku temu, znowu bardzo liczą się publikacje z „Foreign Affairs”. Artykułem, który nadał impetu debacie na łamach dwumiesięcznika, było słynne dziś *Zderzenie cywilizacji* prof. Samuela Huntingtona (artykuł ukazał się w lecie 1993 r., zaś na jesieni tego samego roku dołączony doń został wielogłos dyskusyjny). [tu przypis 2] W roku 1999, w numerze marcowo-kwietniowym, Huntington zastanawia się nad konsekwencjami obecnego układu sił dla Ameryki, krytycznie przy tym oceniając poglądy globalistów i zwolenników *życziwej hegemonii*.

Huntington przedstawia geopolityczną strukturę współczesnego świata jako *jedno- i zarazem wielo-centryczną*. Tym dziwnym terminem opisuje sytuację jego zdaniem bez precedensu – świata z jednym supermocarstwem i kilkoma mocarstwami regionalnymi. Obok mocarstwa światowego, czyli USA, mamy, niejako na niższym poziomie, *niemiecko-francuskie kondominium w Europie, Rosję w Eurazji, Chiny i potencjalnie Japonię we wschodniej Azji, Indie w Azji południowej, Iran w Azji południowo-zachodniej, Brazylię w Ameryce Łacińskiej oraz Południową Afrykę i Nigerię w Afryce. Na trzecim poziomie sytuują się drugorzędne siły regionalne, których interesy pozostają często w konflikcie z interesami regionalnych mocarstw. Mamy tu na przykład Wielką Brytanię w jej relacji do kompleksu niemiecko-francuskiego, Ukrainę w jej relacji do Rosji, Japonię w jej relacji do Chin, Pakistan w relacji do Indii, Arabię Saudyjską w relacji do Iranu i Argentynę w relacji do Brazylii.*

Stwarza to ciekawą sytuację, w której łatwo o konflikty i frustrację wielu aktorów. USA wolałyby system monocentryczny, z nimi w roli hegemonu. Takie dążenia wzmacniają i tak obecną wśród mocarstw lokalnych ochotę na zmianę świata w policentryczny. Praktycznie wszystkie mocarstwa lokalne coraz bardziej szukają potwierdzenia się w realizacji własnych interesów, często sprzecznych z interesem Ameryki. *Polityka globalna, odszedłszy od systemu dwubiegunowego w dobie zimnej wojny, znalazła się w momencie monocentryzmu – zaakcentowanego wojną w Zatoce Perskiej – i obecnie przechodzi przez dziesięciolecie jedno-wielo-centryzmu, by wejść w prawdziwie wielocentryczny wiek XXI.*

Huntington nie wierzy w skuteczność amerykańskiego odwoływania się do rzekomo życzliwego charakteru proponowanej hegemonii. Jego zdaniem, na przykład sformułowanie zastępcy sekretarza skarbu, Lawrence'a Summersa, iż Ameryka jest *pierwszym supermocarstwem nieimperialistycznym*, warte jest powtarzania jedynie dzięki swej kuriozalności – *w zaledwie trzech słowach mamy tu prawdziwy pean na cześć amerykańskiej niepowtarzalności, cnoty i siły.*

Problem w tym, że *amerykańska polityka zagraniczna w znacznym stopniu żywi się takimi wyobrażeniami. W ciągu ostatnich kilku lat USA w mniejszym lub większym stopniu jednostronnie usiłowały (albo były postrzegane jako usiłujące), między innymi: zmusić inne kraje do podporządkowania się amerykańskiemu rozumieniu i realizacji praw człowieka oraz demokracji; powstrzymać inne kraje przed takim dozbrojeniem się, które mogłoby zagrozić amerykańskiej dominacji w dziedzinie uzbrojenia konwencjonalnego; [...] promować interesy amerykańskich korporacji pod płaszczykiem sloganów o wolnym handlu i otwartych rynkach; tak kształtować Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy by służyły wspomnianym właśnie interesom; mieszać się w konflikty lokalne o małym znaczeniu dla Ameryki; [...] podjąć akcję militarną przeciw Irakowi i potem stosować surowe sankcje ekonomiczne przeciw tamtejszemu reżimowi; zaklasyfikować pewne kraje jako „państwa szkodliwe” (ang. „rogue states”, termin oficjalnie funkcjonujący w amerykańskim języku politycznym) i wykluczyć je z instytucji globalnych, ponieważ nie ulegają amerykańskim życzeniom.*

Polityczny i medialny *establishment* stara się przekonać opinię o działaniu Ameryki w imię „wspólnoty międzynarodowej”. Ale jakiej, pyta Huntington: *Chin, Rosji, Indii, Pakistanu, Iranu, czy świata arabskiego? A może SEATO, Afryki, Ameryki Łacińskiej czy Francji? Czy którekolwiek z tych krajów lub regionów postrzeża USA jako rzeczownika tej wspólnoty, której jest częścią? W najlepszym razie wspólnota, w imieniu której przemawia Ameryka, składa się – gdy mówić o większości spraw -- z jej kuzynów anglosaskich (Wielkiej Brytanii, Kanady,*

*Australii i Nowej Zelandii), z Niemiec i mniejszych krajów europejskich, gdy mówić o wielu sprawach, z Izraela, gdy mówić o pewnych sprawach związanych z Bliskim Wschodem, oraz z Japonii, gdy chodzi o wprowadzanie w życie uchwał ONZ. I tyle.*

Amerykanie są ślepi na to, że nieodmiennie każdy atak na jakiegoś Miloszewicza albo Husseina zwiększa jego popularność w ojczyźnie. Coraz częściej międzynarodowe inicjatywy amerykańskie spotykają się z zimnym przyjęciem za granicą oraz na forum organizacji międzynarodowych. I kto opatruje etykietą państwa szkodliwego inne kraje, jak Koreę Północną czy Irak, sam jest coraz częściej postrzegany jako taki właśnie kraj. [...] *elity państw, których populacja stanowi przynajmniej 2/3 populacji światowej – Chińczyków, Rosjan, Hindusów, Muzułmanów i Afrykańczyków – uważają Stany Zjednoczone za największe zagrożenie dla ich społeczeństw. Ameryka nie jest zagrożeniem militarnym, ale jest według nich zagrożeniem dla tożsamości, autonomii, powodzenia i swobody działania ich społeczeństw.*

Wielu autorów, nie tylko Huntington, zwraca uwagę na rosnącą skłonność mocarstw lokalnych do budowy lub umocnienia sojuszy bez USA, jak w przypadku Unii Europejskiej, lub skierowanych przeciw USA, jak w przypadku trójkąta Rosja-Chiny-Indie, czyli narazie tylko bytu *in statu nascendi*, czy raczej prób budowy sojuszu euroazjatyckiego. **[tu przypis 3]**

Huntington uważa, że świat zmierza – i powinien zmierzać – do układu policentrycznego. W obecnym, jedno-wielo-centrycznym układzie, Ameryka powinna jego zdaniem zrezygnować z dążeń hegemonistycznych i w sposób elastyczny wykorzystywać swą dzisiejszą pozycję do budowy takiego układu policentrycznego, który jej nie zagrażałby. Właśnie przemyślana rezygnacja z aspiracji hegemonistycznych powinna zmniejszyć szansę na powstanie bloku mocarstw lokalnych skierowanego przeciw Ameryce, tym bardziej, że te pierwsze zawsze będą dzielić różnice cywilizacyjne oraz ewentualna rywalizacja o prymat w ramach bloku. USA mogą wykorzystywać naturalną niechęć państw mniejszych do dominujących je mocarstw lokalnych. Jednocześnie USA powinny pozostawić mocarstwom lokalnym dbałość o stabilność w regionach, delikatnie wpływając na to, by zagadnienia o charakterze globalnym były rozwiązywane zgodnie z interesami supermocarstwa.

*W policentrycznym świecie XXI wieku najważniejsze mocarstwa będą bez wątpienia konkurować, popadać w konflikty i wiązać się ze sobą w różne układy i konstelacje. Ale w takim świecie nie będzie napięć i konfliktów między supermocarstwem i mocarstwami regionalnymi, właściwych światu jedno-wielo-centrycznemu. Dzięki temu USA będą mogły znaleźć swoje miejsce jako potęga w świecie wielocentrycznym, i miejsce to będzie mniej wymagające, mniej konfliktogenne i bardziej przychylnie przyjmowane przez świat, niż to się dzieje w układzie z jednym supermocarstwem.*

Joseph Nye Junior, jak i Huntington profesor uniwersytetu Harvarda, próbuje w lipcowo-sierpniowym numerze „Foreign Affairs” przedstawić amerykański interes narodowy odwołując się do klasyfikacji zagrożeń dla Ameryki, sformułowanej przez Williama Perry’ego i Ashtona Cartera. *Na wierzchołku hierarchii powinny znajdować się kraje z listy „A”, takie jak kiedyś Związek Sowiecki, który stanowił zagrożenie dla istnienia USA. Na liście „B” znajdują się kraje zagrażające interesom USA, ale nie ich istnieniu, jak Korea Północna lub Irak. Lista „C” zawiera istotne przypadki krajów, które wprawdzie bezpośrednio nie zagrażają interesom USA, ale wpływają na bezpieczeństwo USA pośrednio (tak, jak zdaniem Perry’ego i Cartera czynią to różne Kosowa, Bośnia, Somalia, Rwandy i wyspy Haiti).*

Nye boleje nad tym, że kraje z listy „C” *zdominowały obecną politykę zagraniczną Ameryki*. Jest przekonany, że Amerykanie *powinni unikać używania siły w sytuacjach, w których nie są zagrożone istotne interesy ich narodu, interwencja zaś usprawiedliwiana jest tylko względami humanitarnymi*. W przeciwieństwie do elity rządzącej takie jest stanowisko społeczeństwa amerykańskiego, które według Nye’a gotowe było ponieść ofiary w Zatoce Perskiej sięgające nawet 10 000 zabitych, ale nie życzyło sobie choć jednej ofiary w Somalii (to właśnie nieszczęśliwa interwencja w Somalii miała uniemożliwić ograniczenie skali ludobójstwa w Rwandzie). Jednocześnie prof. Nye nie wyklucza zupełnie interwencji militarnej, której jedynym celem byłoby powstrzymanie ludobójstwa, ale to wymagałoby uprzedniego precyzyjnego określenia co ludobójstwem jest, a co nie jest, jak też wykazania, że to właśnie na Ameryce (czy NATO) spoczywa obowiązek interweniowania. Uważa na przykład, że USA powinny były przerwać ludobójstwo w Rwandzie, ale też że USA i NATO powinny były zerwać rozmowy w Rambouillet i zaprzestać swego zaangażowania w sprawę pokoju w Serbii w odpowiedzi na początkową odmowę podpisania porozumienia przez Armię Wyzwolenia Kosowa. **[tu przypis 4]**

Nye jest przekonany, iż w interesie USA leży utrzymywanie porządku międzynarodowego, cokolwiek bowiem groziłoby podstawom tego porządku, *jednocześnie zagrażałoby dobru i życiu Amerykanów*. [...] *Niektórzy analitycy sugerują możliwość pójścia po naukę do XIX-wiecznej Anglii, która również była potęgą przeważającą, ale nie dominującą. Wielka Brytania zabiegała o trzy dobra publiczne: utrzymanie równowagi sił między najważniejszymi mocarstwami, wspieranie otwartego, międzynarodowego systemu ekonomicznego oraz utrzymanie wspólnych i otwartych dóbr międzynarodowych, jak swoboda żeglowania po morzach. Wszystkie te trzy zadania dość dobrze korespondują z wyzwaniem, jakim musi dziś podolać Ameryka. Jeśli chodzi o międzynarodowy podział władzy, musimy kontynuować – by użyć słów wydawanego przez Pentagon „Quadrennial Defense Review” – politykę „kształtowania środowiska”. To dlatego 100 000 amerykańskich żołnierzy powinno stacjonować w Europie, drugie 100 000 w Azji i około 20 000 w rejonie Zatoki Perskiej. Na liście „A” musi pozostać zadanie Ameryki jako stabilizatora oraz czynnika uniemożliwiającego powstanie wrogich hegemonów w istotnych regionach świata.*

W świecie ekonomii prof. Nye opowiada się za walką z protekcjonizmem w domu oraz wzmocnieniem w świecie roli Światowej Organizacji Handlu, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i podobnych organizacji międzynarodowych. Wspólne dobra międzynarodowe to dziś nie tylko międzynarodowe wody, ale również – dodaje Nye – ginące gatunki zwierzęce i roślinne oraz „przestrzeń cybernetyczna”.

Porównując propozycje Nye’a i Huntingtona, ten pierwszy zdaje się mniej przejmować trudnościami, z jakimi Ameryka będzie sobie musiała radzić w świecie jedno-wielocentrycznym, choć bez wątplenia przedstawia drogi porządkowania aktualnej polityki USA. Huntington chciałby chyba zachowania „cichej” przewagi Ameryki w świecie *de iure* wielocentrycznym.

Ameryka, która zaczynała swą egzystencję na mapie świata jako republika, jest dziś potęgą imperialną, jedynym supermocarstwem światowym. Fareed Zakaria, redaktor „Foreign Affairs”, słusznie zwraca uwagę na łamach „National Review” z 27 września 1999, iż ostatni incydent bałkański *może być najlepiej opisany jako wyraz liberalnego imperializmu*. Tak opisywano już imperializm XIX-wiecznej Anglii. *Ludzie tacy jak Sekretarz Kolonii Joseph Chamberlain postulowali rozszerzanie imperium o wszystkie ziemie, gdzie tylko można było*

zaprowadzić porządek. Strategia ta przyniosła wiele sukcesów – niemal z tych terenów, które kiedyś należały do Korony Brytyjskiej, to dziś obszary spokoju i demokracji. A i opanowywanie tych terenów przebiegało pod znakiem ogromnej przewagi brytyjskiej; opanowanie Sudanu kosztowało Brytyjczyków 500 istnień ludzkich, podczas gdy druga strona straciła 20 000 dusz. I oto *NATO gra dziś na Bałkanach rolę spadkobiercy po Osmanach i Habsburgach*. Z jedną wszakże – jak mądrze zauważa Zakaria – różnicą. Wiek XIX, w przeciwieństwie do XX, nie był wiekiem nacjonalizmu, i przeto łatwo było nie tylko nad jakimś obszarem zapanować, ale i nad nim panować eksploatując jego bogactwa, jako zapłatę dla Korony za utrzymywanie porządku. Dziś akcja bałkańska nie rozwiązuje konfliktów narodowościowych, rodzi tylko nienawiść miejscowych do Ameryki, samym zaś Amerykanom jawi się jako akcja altruistyczna i przeto sensowna przez parę tygodni, wątpliwa po paru miesiącach i bezsensowna po paru latach. **[tu przypis 5]** Zakaria nie zgadza się z twierdzeniem, iż Ameryka nie ma żadnego moralnego prawa do narzucania swojej woli innym i, tym samym, mówi „tak” amerykańskiemu interwencjonizmowi i ograniczeniu suwerenności mniejszych państw. Ale – podobnie do Nye’a – chce by działaniom Ameryki przyświecał jej dobrze określony i jasny interes.

### **Alternatywa izolacjonizmu?**

Imperium Americanum powinno zachować niewątpliwą przewagę nad resztą świata według mózgow Partii Republikańskiej, według neokonserwatystów, większości autorów publikujących w „National Review”, według Heritage Foundation i wydawanego przez Fundację dwumiesięcznika „Policy Review”. Generalnie, można chyba rzec, obowiązuje poruszanie się w ramach świata jedno-wielo-centrycznego. Dla świata wielocentrycznego miejsca prawie nie ma. Pominąwszy polityków i ich doradców, którzy celują w tekstach niosących tyle samo informacji co enuncjacje ich polskich odpowiedników (wypowiadających się na dowolne tematy), autorzy starają się – jak wspomniany wyżej Nye – wskazywać sposoby porządkowania amerykańskiej polityki zagranicznej, porządkowania i utrzymywania w ryzach wydatków na zbrojenia, itp.

Dla sympatii izolacjonistycznych w periodykach wielkonakładowych i wpływowych miejsca nie ma zupełnie, chyba, że chodzi o krytykę jedyne go głośnego izolacjonisty, Patricka Buchanana, który do niedawna myślał o kandydowaniu do nominacji prezydenckiej z ramienia Partii Republikańskiej, a dziś robi to jako członek maleńkiej Partii Reformatorskiej, założonej przez Rossa Perota.

Tymczasem sympatie te muszą być bliskie jeśli nie umysłowi, to sercu niejednego amerykańskiego konserwatysty **[tu przypis 6]**. Mam tu oczywiście na myśli konserwatystów prawdziwych, a nie rzesze tych, którzy się nimi mienia i za takich uchodzą w świecie wielkiej polityki i opiniotwórczego *establishmentu*. Krótko mówiąc – **czy wielka i potężna Ameryka z jej menedżerską elitą, z jej Wall Street i ponadnarodowymi korporacjami, scentralizowaną władzą i postmodernizmem na uniwersytetach, z jej imperializmem i funkcją światowego policjanta wreszcie, nie powinna się opamiętać, zadumać nad sobą, zapytać o swe kulturalne korzenie? A jeśli tak, to czy niejako automatycznie nie oznacza to konieczności zwrotu Ameryki ku sobie samej i przez to swego rodzaju odwrócenia się od reszty świata?** Często przeze mnie przywoływany w tych „Przeglądach” Samuel Francis uważa za ogromny błąd konserwatystów ich zamknięcie się na rzeczywiste sprawy narodu, zamknięcie się w sferze idei tak pomylnych, że nie mogących już mieć żadnych pozytywnych konsekwencji. Jego zdaniem prawdziwy amerykański ruch konserwatywny jest

już tylko historią. I bez względu na to czy Francis ma rację, czy tylko przedstawia karykaturę aktualnej sytuacji, nie ma dziś wątpliwości, że tradycyjnie konserwatywne warstwy społeczne nie mają się do kogo odwołać. Klasa średnia, zwłaszcza niższa, czuje się zdradzona przez rządzący *establishment*, pozbawiona statusu, jakim się cieszyła przez pokolenia, oraz zmarginalizowana kulturalnie (choć tego akurat nie potrafi wyartykułować) i ekonomicznie. **Kraj, w którym żyją, przestał być ich Ameryką.**

Ma rację również często przeze mnie przywoływany Thomas Fleming, gdy na łamach grudniowego „Chronicles” zastanawia się nad przyczynami dechrystianizacji Ameryki i pisze:

*Teorie spiskowe nie są tu potrzebne, skoro tylu chrześcijan i większość konserwatystów gra do własnej bramki przez większość czasu. Oto zamiast zlikwidować system szkolnictwa publicznego, koncentrują swoje wysiłki na wprowadzeniu modlitwy na powrót do szkół. Czynią równie głupio, gdy atakują pornografię w telewizji zamiast sprawić by ich rodziny i przyjaciele odwrócili się od kina i telewizji, i zwrócili się ku swemu kulturalnemu dziedzictwu, które na nich czeka, o ile jeszcze są w stanie przypomnieć sobie sztukę czytania i myślenia. Zaiste, cóż to za problem dla państwowych inżynierów społecznych pozwolić dzieciom na modlitwę, uprzednio nafaszerowawszy je jeszcze większą, demokratycznie wynegocjowaną porcją postmodernistycznej pseudonauki?*

Konserwatyści prowadzą tedy swoje targi z lewicą przy zerowym zainteresowaniu szerokiej publiczności, a Buchanan, kiedyś społeczny konserwatysta i ekonomiczny liberał, decyduje się przyjąć postawę konsekwentnego populisty, postawę historycznie już związaną z izolacjonizmem [tu przypis 7], od dawna zresztą bliskim Buchananowi. Casus Buchanana pokazuje jak trudno jest dziś być konserwatystą w Ameryce (i nie tylko tam). Amerykańska klasa średnia to obecnie nie tylko społeczni i kulturalni konserwatyści, ale jednocześnie zwolennicy ekonomicznego protekcjonizmu i państwowego interwencjonizmu, a zatem państwowej emerytury, takiegoż ubezpieczenia zdrowotnego dla osób starszych i innych państwowych dobrodziejstw. Są to już dzieci państwa-Lewiatana. Są przez to państwo zdemoralizowani, ale też po części ubezwłasnowolnieni i dlatego zwracają się doń po pomoc. No i bez nich na pewno, powie Buchanan i Francis, nie da się kraju *oddać Amerykanom*. (Czy z nimi jest to możliwe, tego się Ameryka w najbliższej przyszłości nie dowie, ponieważ w dającej się przewidzieć przyszłości Buchanan prezydentem nie zostanie.)

Izolacjonizm Buchanana nie ogranicza się do potępienia *awanturniczej* obecnie polityki USA. Jego zdaniem, amerykańska polityka zagraniczna powinna za swój cel mieć obronę integralności terytorialnej oraz narodowej tożsamości kraju. Powinna oznaczać powrót do doktryny Monroe'a z roku 1823, czyli do zasady „nietykalności” obu Ameryk przez przybyszów zza oceanu, przy jednoczesnym przestrzeganiu przez USA zasady nieangażowania się w konflikty europejskie (z dodaniem zasady nieangażowania się *a fortiori* w konflikty na innych kontynentach). Według prof. Bacevicha, który w „National Review” opublikował recenzję ostatniej książki Buchanana [tu przypis 8], tezy pomieszczone w książce są interesujące, gdy dotyczą krytyki internacjonalizmu prezydenta Wilsona, są godne uwagi jako krytyka *quasi-imperialnych pretensji USA*, ale nie są wiele warte jako rady dla amerykańskich nacjonalistów jak odstąpić od obecnych globalnych zobowiązań ich ojczyzny. W tej ostatniej dziedzinie – dodaje Bacevich -- *są raczej wyrazem nostalgii za czasem dawno minionym niż propozycją strategii na przyszłość*; przekreślenie wszystkich dotychczasowych sojuszy nie jest sprawą tak prostą, jak tego chciałby Buchanan. Od siebie dodam, że traktowanie Ameryki jako *narodu w pełni uformowanego* (ang. „completed nation”) i

*bogobojnego* może czynić pomysł jej radykalnego oderwania od reszty świata chrześcijańskiego łatwiejszym do uzasadnienia, ale przez to wcale nie rozsądniejszym.

## Upadek

Wspomniana recenzja ostatniej książki Buchanana jest rzeczowa i spokojna w tonie. **[tu przypis 9]** Podobnie, chociaż niewolne już od złośliwości są inne krytyki poglądów Buchanana na łamach niechętnego mu „National Review”. Niezwykłe jednak były ataki, jakie po ukazaniu się książki spotkały amerykańskiego izolacjonistę ze strony niemałej liczby uznanych członków *establishmentu* medialno-politycznego. Na zasadzie niepojętej dla komentatorów, którzy na historyczny pamflet Buchanana spojrzeli rzetelnie, książka została ogłoszona dowodem antysemityzmu jej autora (sam muszę przynąć, że filipiki antybuchananowskie wprawiły mnie w kompletne osłupienie). **[tu przypis 10]** Chyba najostrzejszy, a na pewno najbardziej ważki atak spotkał Buchanana ze strony człowieka tak wybitnego jak założyciel i wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Commentary”, Norman Podhoretz (atak zamieszczony przez Wall Street Journal w październiku 1999). Podhoretz, który zresztą od lat tropi domniemany antysemityzm Buchanana, tym razem oskarżył go dodatkowo o sympatię dla Hitlera. A wszystko dlatego, iż w swojej książce Buchanan stwierdził, że Wielka Brytania nie powinna była wypowiadać wojny Niemcom w 1939 roku (to samo wcześniej twierdzili różni historycy angielscy), lecz starać się skierować ekspansjonizm Hitlera na wschód oraz, że Ameryka nie powinna była włączać się do wojny przeciw hitlerowskim Niemcom, lecz czekać aż Niemcy i Sowietci wymordują się nawzajem (to samo postulował w roku 1941 późniejszy prezydent USA, Harry Truman). Ta druga sprawa spotkała się ze szczególnym potępieniem ze strony kilku zacietrzewionych krytyków, jako że niewłączenie się Ameryki do wojny z Niemcami oznaczałoby ich zdaniem amerykańską odmowę wzięcia na siebie obowiązku obrony Żydów przed zagładą (bez względu na stopień kontrowersyjności opinii Buchanana, głoszącej iż wejście Zachodu do wojny ośmieliło hitlerowski zamiar wymordowania Żydów, a już na pewno przyspieszyło tragedię Żydów zachodnioeuropejskich, to stwierdzanie jakiegokolwiek związku między wypowiedzeniem wojny Niemcom a sprawą holocaustu jest nonsensem). **[tu przypis 11]**

Jak na to zwracają uwagę tacy obrońcy Buchanana jak Llewellyn Rockwell Junior (prezydent Instytutu im. Ludwiga von Misesa), Samuel Francis, Joseph Sobran, jego casus stanowi największe istniejące niebezpieczeństwo dla stabilności zgodnie rządzącego Ameryką układu dwupartyjnego. Dlatego Buchanan „musi” zostać wyeliminowany i stąd wściekłość ataku.

Sobran mądrze pisze o upadku kultury myślenia i dyskursu – jasne, że interes polityczny często, niejako z natury rzeczy potrafi zawęzić szerokość spojrzenia, ale to czego obecnie doświadczamy woła o pomstę do nieba. Oto w swojej ostatniej książce Buchanan śmiało odrzucić „historię pisaną przez zwycięzców”, a tylko o takiej potrafią (i mają prawo) rozprawiać dzisiejsi kulturalni półanalfabeci zwani intelektualistami, i także stąd anatema, jaka go spotyka. *A przecież każde wydarzenie historyczne może być widziane z różnych perspektyw. Jeżeli spytasz katolika czy II wojna światowa skończyła się tak jak powinna była, ten ma prawo odpowiedzieć: „nie, dla Stalina oznaczała opanowanie kilku krajów katolickich”. Czy jest coś złego w tej odpowiedzi? Przecież z jego punktu widzenia jest to oczywistość. Ale na wielość spojrzenia, na poszukiwanie prawdy, na poznawczy dystans i choć cień obiektywizmu nie ma już miejsca. Czyż późniejsi zwycięzcy nie mieli racji ex definitione pałac żywcem dwie trzecie spośród stu kilkudziesięciu tysięcy Drezdeńczyków, którzy zginęli w wyniku nalotu alianckiego w roku 1945? Albo czy nie ma dziś racji z*

definicji Ameryka utrzymując sankcje ekonomiczne przeciwko Irakijczykom, które według niezależnych raportów zwiększyły liczbę śmierci wśród dzieci do piątego roku życia o około 40 000 rocznie, zaś wśród osób starszych o około 50 000? [tu przypis 12]

Demokratyczny centralizm i postmodernistyczna antymyśl pospołu święcą triumfy. Pierwszy orzeka o czym i co wolno mówić, obydwaj dokonały dekompozycji hierarchii dóbr moralnych na doskonale relatywne i względem siebie autonomiczne „wartości”. W takim świecie liczą się zwycięzcy, materialnie bogaci i duchowo bezradni. Wyprowadza ich z równowagi każdy, kto odmawia legitymacji rządzącemu układowi, trudno im podjąć z nim dyskusję, bez względu na to czy ich oponent akurat ma rację czy nie. Nowoczesne społeczeństwo ani na chwilę nie pozwala zapomnieć o wszechogarniającej „politycznej poprawności”, a w istocie jego quasitotalitarnym charakterze.

Odpowiedzią zmarginalizowanych tradycyjnych konserwatystów są albo analizy raczej historyczne, albo – coraz częściej – krzyk rozpacz, coraz częściej zresztą także niewolny od zaciętrzewienia. Inni starają się zbytnio nie odbiegać od obowiązującej ortodoksji, ale też, jak „National Review”, piętnują na przykład nieobcy władzy federalnej terror policyjny oraz boleją nad zanikiem fundamentalnej dyskusji ekonomicznej. Do tych spraw wrócimy w następnym przeglądzie.

### **Przypisy:**

1. W „ARCANACH” nr 26/1999 mówił o tym prof. Andrzej Walicki w swej arcyciekawej rozmowie z Jarosławem Zadenckim.
2. Jak dobrze wiadomo, Huntington rozszerzył później artykuł do książki, dość szeroko zresztą w Polsce dyskutowanej.
3. W tym samym, marcowo-kwietniowym numerze „Foreign Affairs” C. Fred Bergsten przestrzegł, że ekonomiczna i monetarna unia krajów zachodniej Europy jest potencjalnie niebezpieczna dla amerykańskiego przywództwa, o ile nie zostanie związana nowymi porozumieniami z USA (z dokumentów Kongresu wynika, że sprawa ta jest także przedmiotem troski jego Komisji Spraw Zagranicznych). O tym zaś, że Serce Łądu może chcieć zagrozić światu wojną pisał Charles Clover.
4. Zamiast tego, jak pisze Nye, USA udały później, że dają wiarę zapewnieniom Armii Kosowa o przystaniu na autonomię Kosowa w ramach Jugosławii, zagroziły Serbii bombardowaniami, Miłoszewicz wziął groźby za bluff i rozpoczął czystkę etniczną.
5. Zakaria przedstawia interwencję w Serbii jako rzeczywiście altruistyczną, nie widzi bowiem – przynajmniej narazie -- żadnego ewentualnego amerykańskiego interesu w osłabieniu Serbii jako prawosławnego sojusznika Związku Sowieckiego.
6. Amerykański izolacjonizm byłby dziś klęską dla Polski, ale też wcale nie jest pewne czy jest w nas dość rozsądku politycznego i dość ducha, by czas nam dany przez Imperium Americanum dobrze wykorzystać na ratowanie tego co w polskiej kulturze wartościowe, od katolickiej spuścizny poczynając.
7. Por. esej Jarosława Zadenckiego poświęcony Charlesowi Lindberghowi.

8. Patrick J. Buchanan, *A Republic, Not an Empire*, Regnery, Washington, DC, 1999.

9. Jako historyk, recenzent miał oczywiście prawo wytknąć autorowi, że w części historycznej książka nie jest oryginalna, choć podejmuje wątki nieczęsto obecne w podręcznikach historii. Buchanan nie jest np. oryginalny ani opowiadając się po stronie przeciwników amerykańskiego udziału w obydwu wojnach światowych, ani przytaczając skądinąd ciekawe argumenty owych przeciwników. Denerwująca jest demagogia autora (w końcu polityka!) i brak jakichkolwiek wątpliwości co do stuprocentowej trafności jego interpretacji wydarzeń historycznych, ale też niehistorykowi trudno momentami nie ulec dosadności i jak zawsze świetnemu stylowi jego prozy.

10. Jak na ironię, Buchanan zachowywał ostatnio ostrożność w atakowaniu *lobby* izraelskiego, któremu nierzadko zarzucał reprezentowanie interesu sprzecznego z wewnętrznym interesem amerykańskim. Dlatego zresztą o antysemityzm był już oskarżany w przeszłości (Buchanan jest jednym z niewielu, dla których zarzut antysemityzmu nie okazał się równoznaczny z końcem politycznej kariery).

11. Warto dodać, że wszystkie przytoczone tu argumenty polemizujące z tezami przeciwników Buchanana znalazły się w felietonie Christophera Layne'a i Benjamina Schwartza, jaki ukazał się we wrześniu w New York Times. W prasie amerykańskiej ukazało się więcej felietonów broniących amerykańskiego izolacjonisty. We wszystkich podkreślano, że argumenty Buchanana, nawet jeśli niekiedy kontrowersyjne lub błędne, zasługują na merytoryczną dyskusję, a nie kalumnie. Sam Buchanan opublikował odpowiedź Podhoretzowi w Wall Street Journal.

12. Trzeba przyznać, że protesty przeciwko sankcjom antyirackim wyszły w końcu poza wąskie kręgi konserwatystów. W lipcowo-sierpniowym numerze z r. 1999 „Foreign Affairs” opublikowało artykuł Johna i Karla Muellerów (co prawda specjalnie zaznaczając, że poglądy w nim reprezentowane wyrażają osobiste poglądy autorów), w którym wszelkie nieszczęścia, jakie na kraje bogate mogą spowodować biedne *kraje szkodliwe* (terroryzm, broń chemiczna, biologiczna, pociski balistyczne) wypadają blado wobec tego co już czynią sankcje ekonomiczne aplikowane biednym przez świat bogaty.